

zeli miałby ścierpieć, by siostra jego została małżonką człowieka, którego Mieć nie tylko nienawidzi, ale którym nadto... wybac mi pani... pogardza w najwyższym stopniu...

Wypowiadając te słowa, stała panna Orlicz-Modrzewska w postawie nad wyraz skromnej u węgłowia kanapy, na której wpołożąco siedziała zgnębiona siostra Mieczysława; ale z oczu Halki w chwili, gdy to wyznanie śmiało przed Wandą składała, wycierało wyraźnie wielkie a serdeczne wzburzenie, jakie rozpiekało wnętrze duszy szlachetnej dziewczyny.

Usta Wandy poruszyły się nerwowo.

— Boże, czyż moim mękom nie będzie już końca — szepnęła prawie niezrozumiale, a po chwili dodała tonem silnego postanowienia:

— Nie... już dałam słowo i temu panu i mojemu ojcu... przysięgam już, nawet przysięgam... Więc dla mnie już niema wyjścia... cofnąć się już mi nie wolno...

Delikatną twarz Halki oblał rumieniec, a w oczach widne były błyski, gdy w odpowiedzi rzuciła nowe pytania:

— A zatem jesteś pani zmuszona... działasz pani tylko pod przymusem... czy tak — dodała z naciskiem, — musisz pani?

— Muszę i chcę.

— A gdyby Mieć... a gdybym ja...

Nie dokończyła, gdy Wanda podniosła się prostując dumnie:

— Dlaczego muszę i dlaczego chcę, powiem to pani zaraz... Zmuszono mnie, tego nie zaprzeczam, ale teraz chcę pokazać mężczyznom, co może kobieta... Gdy oni stanęli bezradni przed przeszkodą, która była tylko nieuniknionym następstwem lekkomyślnych ich czynów, ja pragnę dać im przykład, który prawdopodobnie oddziała jak przestroga na przyszłe ich życie... I wierzę, że ofiara straszna, jaką poniosę teraz, wpłynie bezwarunkowo na Mieczka, który jedynie skutkiem tego, odmieni chyba swój tryb życia.

— Zamysły, z jakimi tu do pani przyszedłem, przysły, jak bańka mydlana... Pozostaje mi jeszcze jeden, jedyny środek... Żegnam tedy panią... Z całego serca życzę pani szczęścia, hrabianko...

I ręce wyciągnęła w stronę Wandy, lecz ta, nie żegnając się z nią, jeszcze zadrżała Halce w oczy głęboko, poczem rzekła powoli, prawie uroczyście:

— Nie wiem jeszcze, co pani zamierzasz, panno Halko... ale wiem, że miłość prawdziwa odważyć się gotowa na wszystko i do wszystkiego jest zdolna... Kochaj pani Mieczka nadal gorąco, bo memu bratu bardzo potrzeba tej wielkiej miłości szlachetnej duszy... Proszę tedy pani, kochaj go z całego serca — dodała ściskając jej ręce.

— Umrę, gdy on umrze — szepnęła Modrzewska, ale w tej chwili ból ścisnął jej serce na myśl o grożącej Mieczkowi katastrofie, więc odwróciła się pośpiesznie i żywo zmierzała ku drzwiom.

— Halko — zawołała wtedy miłym tonem prośby Wanda.

A kiedy Modrzewska przystanęła i odwróciła się ode drzwi, hrabianka poszła za nią, za rękę ją ujęła i przyprowadziła z powrotem do stolika przy którym usiadły obie na nowo.

— Chciałabym pani zrobić jedną propozycję — zaczęła Wanda — jeżeli się pani na to zgodzisz, to jeszcze wszystko może być dobrze dla Mieczka i dla pani.

— Nie rozumiem pani jeszcze.

Wtedy hrabianka sięgnęła do szuflady, pytając jednocześnie.

— Powiedz mi pani otwarcie, ile też wynoszą najważniejsze długi Mieczka.

Przy tych słowach wyjęła z szuflady dużą kopertę.

— Najpilniejsze — odparła poważnie Halka — wynoszą dziś trzydzieści tysięcy rubli, ogółem jednak, o ile mi wiadomo, suma długów Mieczka nie przekracza pięćdziesięciu tysięcy... Nie przeraża pani ta ogromna cyfra... w tak młodym wieku i w tak krótkim czasie, rozporządzając jeszcze do niedawna ciągle znacznymi funduszami od ojca, zdążył jednak Mieć zadłużyć się na pięćdziesiąt tysięcy rubli.

— Wyobrażałam sobie nawet gorzej jeszcze.

— Ah, bo pani pewnie przypuszczała, że ja go tak materyalnie rujnuję... przepraszam, że ja jestem tak z panią szczerą... Ale właśnie przed jakimś tygodniem, mimo jego protestów, a na skutek mego uporów, zrobiliśmy o ile możliwości dokładne obliczenie, ile ja też Mieczka kosztowałam do tychczas... Wliczając więc wszystkie prezenta oraz wszystko cołożył na moje wykształcenie... to od

chwili naszego poznania się wydał na mnie przez cały czas dwa tysiące siedmset rubli.

Uśmiechnęła się na to Wanda jeszcze bardziej ujęta szczerością przyjaciółki swego brata.

— Pocóż mnie pani wtajemnicza w takie rzeczy... cóż ten skromny wydatek znaczy wobec sumy...

— Pięćdziesięciu tysięcy rubli — dokończyła Halka. A wtedy hrabianka z gestem niesłychanie dyskretnym podsunęła jej dużą kopertę przed chwilą z szuflady wyjętą.

— Tu jest sto tysięcy rubli. Pieniądze te należą do pani i możesz z nimi robić co zechcesz... Nie krepuję pani zupełnie. Poznałam cię dostatecznie i z zaufaniem zupełnym wręczam pani tę sumę, spokojna o jej los i przekonana, że postąpisz najlepiej, sama rozporządzając do woli temi pieniędzmi.

Modrzewska zbladła i cofnęła się.

— Ah, domyślam się... pani przypuszczasz zapewne, że pieniądze te pochodzą od barona Goldenthala, nie, panno Halko, możesz być spokojna.



— Jakto, i nie wie pani jeszcze nic o tem, że doktor Anielski nie żyje... Umarł zupełnie nagle, całkiem niespodziewanie, nie chorował nawet wcale... Jutro już pogrzeb.

Sumę tę przysłało mi dziś dopiero, przed chwilą nawet, zanim pani tutaj przysłała... przysłało mi ją jako honorarium za operacją, która wiele kosztowała, bardzo wiele, bo życie lekarza i pacjenta... Ja zaś chcę dzisiaj tymi pieniędzmi utorować drogę do szczęścia dwojgu innym ludziom, a jeżeli marzenia moje spełnią się, błogosławić będę godzinę, w której udało mi się położyć podwaliny pod owo szczęście tak gorąco przezemnie dla was upragnione...

Kiedy kilka minut później Modrzewska opuszczała Wandę, ta jeszcze raz uściśnęła ją serdecznie i całując w czoło, szepnęła wzruszona:

— Musicie być szczęśliwi oboje... to moje ostatnie życzenie.

Upiór.

Kiedy baron Goldenthal pożegnawszy się z Roźniewskimi, znalazł się sam na sam w swoim pokoju z własnymi myślami i nie potrzebował przywdziewać aktorskiej maski przed ludźmi, zataił ręce radośnie z miną tryumfującą i zawołał do siebie:

— No, udało się szczęśliwie... Tylko ten Anielski trochę mi szyki popsuł swoją śmiercią nagłą. Ale to nic, przecież i to się na coś przyda. Właśnie, że niema tego złego, coby na dobre nie wy-

szło. Nawet lepiej, że nie żyje... A teraz trzeba działać, już czas.

Zaczął wyciągać z kieszeni mnóstwo papierów, przerzucał listy po listach, jedno darł od razu, inne na stół odkładał, poczem z nich znowu wybrał kilka tylko i te włożył do szuflady, resztę papierów zostawiwszy na wierzchu.

Następnie wyjął z portfela list widocznie niedawno odebrany a niezwykle ważny i zaczął czytać go uważnie. Przy niektórych słowach brwi marszczył, to znów czoło chmurzył, wreszcie pięścią w stół uderzył:

— Ach ta Modrzewska... Tego Remana zgniotę, rozdeptę, jak robaka — i baron tupnął nogą w podłogę.

Zerwał się od stołu i tam i z powrotem przechadzał się po pokoju niecierpliwie, nerwowo, szerokim krokiem, nierównym.

Znowu przystanął przed stołem i w czoło się uderzywszy, zawołał do siebie:

— Ja temu chłopcu zaudałam... Gdyby on mnie tak na wskroś przejrzał teraz... Ba!... Ale on odemnie zależy... A jednak mam rację, że to istne szczęście, iż doktor Anielski umarł... Gdyby tak oni przeczuwali, ci Remanowie... i oni są dziedzicami... oni także!

Poczem jakieś niezrozumiałe bełkotał wyrazy chodząc niespokojnie po pokoju.

— Anielski — mruczał znowu — sposobność jest dobra... Trzeba działać.

Zamknął drzwi na klucz, rozejrzał się po pokoju, poczem stopy w oknach popuszczał i chociaż był bezwarunkowo sam w pokoju, jeszcze z lampą w ręce obszedł wszystkie kąty, nawet pod łóżko zajrzał i za szafę, zasłaniającą głęboką framugę drzwi.

Po tych dziwnych przygotowaniach otworzył czterema kluczami sekretnymi kuferek i wyciągnął z niego żelazną szkatułkę.

Jeszcze raz poskoczył ku oknu, żeby się upewnić, czy między storą a futryną okiennej szpara nie jest tak szeroka, by go mógł ktoś tedy podpatrzeć zdala z przeciwnych okien.

Wrócił wreszcie do stołu, otworzył kasę i przez chwilę grzebał w paczce starych pożółkłych papierów.

— To jest mój majątek — mruczał do siebie uśmiechając się — brak mi tu jeszcze jednego i to jedno także zdobyć muszę...

Odczytywał coś długo w starych szpargałach, już je zwijał, to znów z powrotem czegoś w nich szukał, to się im pod światło przypatrywał, uważnie badając, aż na koniec zamknął szkatułkę, schował ją do kufereka, który teraz umieścił w szafie i klucze oraz kluczyki sekretne, pochowałszy przezornie przy sobie, zataił ręce z zadowoleniem.

Zegar wskazywał północ, kiedy baron zdjął z wieszadła duży płaszcz czarny z peleryną, zarzucił go sobie na ramiona i ukrywając w jego kieszeni małą latarkę, zeszedł do restauracji hotelowej. Zastał tam już tylko kilka osób, wśród których nie zauważył wcale znajomych.

Przywitał się tedy z gospodarzem, z którym widocznie znać się musieli dobrze — i usiadł z nim przy dogodnym stoliku w kącie, gdzie mu zaraz podano zamówione wino.

Jak gdyby od niechcenia wdał się z nim zaraz w rozmowę na temat śmierci doktora Anielskiego, którego — o czym baron wiedział z góry, miał gospodarz sposobność znać bliżej.

— Więc pan sądzi, że doktor Anielski biedę klepał?

— Biedę, nie biedę, panie baronie... Ale ręczę panu, że nieboszczyk zarabiał tylko tyle, ile mu niezbędnie potrzeba było na skromne utrzymanie z żoną i dzieckiem...

(Dalszy ciąg nastąpi).